

EWA
SOBIENIEWSKA

Srebrne wrzecziono

*Kiedy kobieta chce decydować o sobie,
może zapłonąć stos...*

LIRA
WYDAWNICTWO

*Srebrne
wrzecziono*

EWA
SOBIENIEWSKA

*Srebrne
wrzeczono*

L i R A
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67388-38-2

Moim Rodzicom

*U prząsniczki siedzą jak anioł dziewczeczki,
przędą sobie przędą jedwabne niteczki.*

*Kręć się kręć wrzecziono,
wić się tobie wić!
Ta pamięta lepiej,
czyja dłuższa nić.*

Jan Czeczot, *U prząsniczki siedzą* (fragm.)

PROLOG

WIELKIE KSIĘSTWO LITEWSKIE, A.D. 1640

Kowal nie pogodził się z odrzuceniem. Po robocie w kuźni podjadał smakołyki przywiezione z jarmarku, popijał gorzałą i żalił się na zły los swemu odbiciu na dnie kielicha.

Jak to być może, że twarde żelazo ustępuje pod siłą jego ciężkiego młota i przybiera kształt, jaki sobie zażyczy, a tymczasem krucha, wiotka dziewczka, kwiatusek taki, co to by mógł palcem na pył rozetrzeć, ustąpić nie chce?

We wsi mówiono, że jest niepewna, że ciąży na niej grzechy matki, co miała wesele pod płótem* i że nikt

* Wesele pod płótem, psie wesele – stracić wianek przed ślubem, urodzić nieślubne dziecko.

nigdy nie weźmie jej za żonę. Cóż to więc była za siła, która wzrok mężczyzn kierowała niezmiennie w stronę Vaivy? Dlaczego panna, co nie znała zalotności, wzbudzała w nich żądze, z których nie śmieli się wypowiadać księdzu podczas corocznego odpustu? Żeby choć była dorodnie zbudowana jak Kochna, którą podszczypywało się w pulchne pośladki, albo wesoła i rumiana jak Aluszka. A jednak, gdy nocami przewracali się na swych twardych ławach, to nie dorodne Kochny wypełniały ich myśli, tylko Vaiva. Śnili o jej długich do kolan, czarnych włosach, jasnych oczach, barwą przypominających wodę z leśnego źródła, o gibkim, szczupłym ciele i ustach czerwonych jak owoce głogu.

Gdy któraś matka spostrzegła, że jej syn wpatruje się w to bękarce nasienie, szturchała go w plecy i zaganiała do roboty, piekłem strasząc. Mężatki przy swych chłopach przezornie milczały, za to jak tylko nadarzyła się okazja — kiedy Vaiva samotnie szła drogą albo zbierała w lesie chrust — dawały upust palącej zawiści i rzucały w jej stronę wyzwiska, że wszeteczną jest i czarcim pomiotem.

Kowal z początku chciał z nią jedynie pofiglować, dobrać się do dziewczęcych skarbów, skrywanych pod płócienną bluzką i długą spódnicą. Im dłużej mu się opierała, tym bardziej jej pragnął. Wreszcie przyrzekł sobie, że będzie jego, że na własność zdobędzie te usta czerwone, te oczy błękitne, że nie pozwoli, by ścięła po ślubie czarne włosy, i co noc będzie je sobie oplatał wokół szyi. Marzenia zrodzone z opętania i pasji musiał pochować, gdy Sigita rzekła mu, że ślubu nie będzie. Vaiva się zaparła, a ona nie potrafi jej zmusić. Cała wieś z niego

kpinkowała. Nie było dnia, by kamraci nie dogadywali, zadowoleni, że nie dostał tej cudnej dziewczki, której i oni łaknęli. Wszystkie wcześniejsze uczucia: żądza, tęsknota, nawet czułość, zlały się w jedno pragnienie, które miast z każdym dniem słabnąć, pęczniało jak ciasto w dzieży. Chciał zemsty. Chciał zobaczyć Vaivę upodloną i zbrukaną.

— Dopadnę cię — mruczał nad kielichem. — Dopadnę cię i wtedy pożałujesz, czarownico!

CZĘŚĆ I

Dziewczynka

ROZDZIAŁ 1

*KRÓLESTWO POLSKIE, ŁUBINÓW,
POŁOWA XIX WIEKU*

Kiedy Wiktoria, córka dziedzica Słoczyńskiego, przyszła na świat, każdy, kto pochylił się nad misternie rzeźbioną, ponad stuletnią kołyską, nie mógł nadzieić się urodzie dziecka. Pełne zachwyty okrzyki krewnych i służby sprawiły, że Ludwika pospołu z mamką Florentyną zdecydowały, by na rączce dziewczynki zawiązać czerwoną tasiemkę, która miała ją chronić przed złym urokiem. A jednak czy to moc nadmiernych zachwyków okazała się silniejsza, czy to potęga jedwabnego amuletu za słaba, bo po kilku latach stało się pewne, że mała Wiktoria ani trochę nie wrodziła się w największą piękność w rodzinie — swoją matkę Eufrozinę.

— Może to i lepiej — wyznała raz Ludwika, gdy z Florentyną w mroźny, listopadowy poranek wyjmowały z przepastnych kufrów mięsiste, haftowane poszwy z adamaszku, ciężkie suknie z mory i obszyte futrem atłasowe salopy. Przed zimą należało wszystko sprawdzić,

przewietrzyć, spryskać wodą różaną oraz rozwiesić w szafach i bieliźniarkach, by nabierało pożądaną gładkości. — Mojej Eufrozynce ta wielka uroda szczęścia nie dała.

— I ja to widzę — przyznała skwapliwie Florentyna, pogodna, prawie czterdziestoletnia kobieta o bystrym spojrzeniu i miłej powierzchowności. — Kiedy wezwano mnie do dworu, żebym dziecko karmiła, rada byłam, że na własne oczy zobaczę panią Eufrozinę. A bo to się mało nasłuchałam, że piękna jak obrazek? A potem, gdy pozwolono mi pokojową zostać, myślałam, że Pana Boga za nogi złapałam.

— Zręczna jesteś, Florentynko, i uczciwa, a i twój Maciej dobrze służy. Lepszego gajowego ze świecą nie znajdziesz, to i nie dziwota, że pani ciebie wybrała. Córkę jej zdrową uchowałaś.

— Ale ona nie przyniosła pociechy. Pani rzadko zagląda do małej.

— Co poradzić — westchnęła ze smutkiem Ludwika, wytrzepując spomiędzy powłoczek na poduszki gałązki suszonych ziół.

— Byliście niańką pani Eufrozyny, prawda?

— Opiekowałam się nią od dnia narodzin. — Ludwika z dumą pokiwała siwą głową. — Traktowałam jak córkę i wszystko bym oddała, żeby szczęśliwa była. Przeklęty dzień, w którym...

— W którym co? Poznała jaśnie pana? — dopytywała zaciekawiona Florentyna, klęcząc nad kufrem.

— Gdzież tam! Niechby mnie Bóg pokarał, żebym miała choć jedno złe słowo o nim powiedzieć. A co to za plamka? Czyżby mole się dobrały? Nie, na szczęście nie — rozstrzygnęła z ulgą.

— Ludwiko... — zaczęła ostrożnie Florentyna — bo mnie się zdaje, że oni są strasznie niedobrani. Wiktonia ma już siedem lat, mogłoby być drugie dziecko, a nawet trzecie.

— Jak Bóg da, to będzie.

— Jak się łoża nie dzieli, to nawet Bóg nie pomoże.

— Jak ci nie wstyd opowiadać takie rzeczy?! — Ludwika zastygła w bezruchu, piorunując ją wzrokiem.

— Przecie służę przy pani, to wiem. Oni się chyba nawet nie lubią. Ludzie powiadają, że...

— No, no, no! Ty nie słuchaj, co ludzie mówią, tylko zajmuj się swoją robotą. O, tu przy sukni kokarda zerwana.

Ludwika, choć mogłaby powiedzieć niejedno, usta miała zamknięte na siedem pieczęci. Dwóch synów, jeden gorszy od drugiego, pochowała dawno temu. Byli źródłem jedynie zgryzoty i wstydu, podobnie jak mąż, utracjusz i awanturnik. Kiedy wybuchło powstanie w trzydziestym roku, ani mu w głowie było ruszyć do walki wraz z innymi silnymi mężczyznami. Aż pewnej nocy, gdy za pieniądze wykradzione żonie opróżniał w karczmie kolejny kufel miodu, naszły go sentymenty. Poderwał się z miejsca, rzucił w stronę drzwi, zakrzyknął: „Na bój, Polacy”, zachwiał się i zakończył swój marny żywot, rozbijając głowę o płaski kamień.

Na wieść o śmierci męża Ludwika westchnęła ze smutkiem, trzy razy zmówiła *Wieczny odpoczynek*... i z ulgą zamknęła ten rozdział życia. Odtąd trwała przy Eufrozyńie jak wierny pies, a gdy ta wyszła za mąż, poszła za nią i jako rezydentka zamieszkała w Łubinowie. A ile miała radości, kiedy na świat przyszła Wiktorია! Dziecko

było pulchne, zdrowe i rumiane niczym jabłka w łubinińskim sadzie, a miało w sobie taką słodycz, że każdy pragnął je tulić, całować i pieścić.

Dziewczynka stała się ulubienicą swojej babki, starej hrabiny Słoczyńskiej, a także służby domowej i folwarcznej. Otoczona miłością wielu ludzi i rozpieszczana przez Ludwikę nie odczuwała braku uwagi rodziców. Wielbiła matkę bezgranicznie jak bóstwo, z daleka i po cichu, zadowolona, że od czasu do czasu może na nią popatrzeć albo wtulić twarz w fałdy spódnicy. Ojciec — wysoki i postawny — jawił się jej niczym niezwykłą postacią rodem z baśni opowiadanych z talentem przez ukochaną piastunkę. Raz widziała w nim groźnego rozbójnika, innym razem księcia zakłętego w niedźwiedzia albo sprawiedliwego króla, wydającego rozkazy poddanym.

Kiedyś się zdarzyło, że podczas zabawy w chowanego z nianią dostrzegła uchylone drzwi w prawym skrzydle dworu — tajemnicze wrota, które musiały prowadzić do cudnej krainy, jak podpowiadała jej wyobraźnia. Nie zastanawiając się długo, weszła do środka. Spodziewała się ujrzeć dziwy niestworzone, a tymczasem zobaczyła siedzącego za biurkiem ojca. Cudna kraina okazała się przestronnym gabinetem z przeszklonymi szafami pełnymi książek. Ściany zdobiły stare mapy i ryciny w cienkich, drewnianych ramach, a okno przysłaniały grube, ciemnozielone kotary. Na kominku stały porcelanowy zegar na wygiętych nóżkach, dwuramienny srebrny świecznik i niewielka litografia Łubinowa. Wiktoria wodziła wzrokiem po grubych tomiszczach ustawionych równo na półkach, aż wreszcie jej uwagę przykuł okazałych rozmiarów globus przy intarsjowanym stoliku

do kawy, pod którym drzemał ogar Gratus, ulubieniec ojca.

— Ukrywasz się? — spytał rzeczowo pan Słoczyński.

Dziewczynka w odpowiedzi kiwnęła główką, niezgrabnie przesuając się pod ścianą. Bardzo rzadko rozmawiała z ojcem i nie była przyzwyczajona, by skupiał na niej uwagę.

— Tam się schowaj — odpowiedział.

Wskazał ręką na głęboki, mocno już zniszczony rokokowy fotel, którego obicie zdobiły sceny z bajek La Fontaine'a. Mebel stał przytulony do starej sekretery, zasłonięty niemal zupełnie przez znajdującą się obok biblioteczkę.

Wiktorija powoli, z namaszczeniem, jakby wkraczała na salę balową, do tego uszczęśliwiona pomocą ojca, zajęła miejsce, układając grzecznie rączki na kolanach, by pokazać, że mimo siedmiu lat jest małą damą. Po chwili jednak roześmiała się perliście, podkuliła nogi i oparła główkę o poręcz. Obserwowała, jak ojciec macza pióro w kałamarzu i zapisuje białe kartki, jak przegląda grube księgi, od czasu do czasu posyłając jej błady, niepewny uśmiech. Natychmiast zapomniała o zabawie w chowanego.

Od tego dnia niemal codziennie przychodziła do gabinetu, by w objęciach staroświeckiego fotela skryć się przed światem i nacieszyć obecnością ojca. Lubiła patrzeć, gdy ten, pochylony nad dokumentami, marszczył czoło. Potem dziewczynka naśladowała wyraz jego twarzy w zabawach z Ludwiką. Nie przeszkadzała jej woń tytoniu ani fakt, że ojciec rzadko się odzywał. Wystarczyło, że kiedy pojawiała się w drzwiach, patrzył na

nią radośnie, jakby mówił: „No nareszcie jesteś”. Nawet Gratus oswoił się z jej obecnością i upodobał sobie miejsce pod fotelem, pozwalając, żeby opierała stopy na jego grzbiecie.

Gdy Wiktoria skończyła dziesięć lat, zdarzało się, że ojciec wydobywał z sekretnych szuflad biurka cenne pamiątki, pękate księgi, miniatury przedstawiające przodków i opowiadał rodzinne historie.

— Pamiętaj, że jesteś córką i wnuczką powstańców — mówił.

Pozwalał jej trzymać w dłoniach ołowianą moskiewską kulę, którą ongiś wyjęto mu z biodra, a dziewczynka pęczniała z dumy.

— Twój dziad Wincenty był oficerem Armii Polskiej i zginął w obronie ojczyzny, walcząc u boku Tadeusza Kościuszki.

Wiktoria dzięki lekcjom z guwernantką Michaliną, gorącą patriotką i wielbicielką Mickiewicza, miała już spore pojęcie o historii kraju i wielkich bohaterach. Od Ludwiki wiedziała, że ojciec po powstaniu listopadowym został skazany na katorgę, od której po dwóch latach spędzonych w więzieniu wykupiła go matka.

— Dwór w Słocynie przejęli zaborcy i wtedy zamieszkał tutaj, w majątku posagowym twojej babci — tłumaczyła Ludwika.

— I ożenił się z mamą.

— Ano tak. A opowiadałam ci już legendę o kamiennym pielgrzymie, co od wieków idzie na Święty Krzyż?

Wiktoria nie mogła nie zauważyć, że ukochana niania, urodzona bajarka, która godzinami mogła snuć barwne rodzinne opowieści, stawała się dziwnie powściągliwa,

ilekroć dziewczynka pytała o związek matki z ojcem. Nie przejmowała się tym zbyt do pewnej wiosennej niedzieli. Miała wtedy jedenaście lat i bawiła się ze swoją mleczną siostrą, Karusią, córką Florentyny. W pewnym momencie poczuła wilczy głód.

— Chodźmy do kuchni — zaproponowała, pociągając przyjaciółkę za rękaw płóciennej bluzki. — Kucharka da nam coś do skosztowania. Nie wytrzymam do kolacji.

— To idźmy do mnie. Mama jest dziś w domu. Placzków z konfiturą nasmażyła.

Wiktoria przepadała za Florentyną, która wykarmiła ją własną piersią i której mogła powierzyć wszystkie troski swego młodego serca, lubiła też solidny, kryty strzechą dom, położony za dworem przy borze. Pobiegły zatem w podskokach do leśniczówki, trzymając się za ręce. Kiedy zdyszane wpadły do pachnącej dymem, jabłkami i cynamonem izby, zastały Florentynę przy dzieży. Maciej stał za nią, wtulał twarz w szyję kobiety, a rękami mocno oplatał ją w pasie. Coś szeptał, Florentyna zaś chichotała, jakby była panną na wydaniu, a nie stateczną żoną i matką sześciorga dzieci.

Wiktoria w pierwszej chwili nie zrozumiała, dlaczego ta scena, miał ją spieszyć, zawstydzić, sprawiła jej dotkliwy ból, dlaczego nagle straciła ochotę na placki z konfiturą i zabawę z Karusią. Wróciła do dworu i na długie godziny zaszyła się w swojej „świątyni dumania” — kamiennej, przeszklonej altanie, ukrytej pośród drzew w parku. Usiadła na ławce, podciągnęła kolana pod brodę i przez witrażowe okno spoglądała na wiekowe lipy, które zdążyły obudzić się z zimowego snu

i rwały do życia. Siedziałyby tam pewnie do późnej nocy, gdyby nie Ludwika.

— Bój się Boga, dziecko! — zawołała starsza dama, wszedłszy do środka. — Od kiedy wróciłyśmy z kościoła, biegasz nie wiadomo gdzie, a kolacja już...

— Dlaczego mama i papa się nie lubią? — spytała wprost, patrząc niani w oczy z determinacją i bezbrzeżnym smutkiem, który zaniepokoił Ludwikę.

Starsza dama złapała za poły wełnianej, brązowej chusty, chroniącej plecy i ramiona przed zdradliwym ciepłem wiosny, i usiadła obok Wiktorii na kamiennej ławie.

— Kto ci, maleńka, powiedział, że się nie lubią? Cóż za pomysły?

— Nikt nie powiedział. Widziałam... widziałam Florentynę i Macieja. Papa nigdy nie przytulił mamy, nigdy z nią nie rozmawia, dlaczego?

— Ależ rozmawiają...

— Nie tak jak Florentyna z Maciejem. Oni śmieją się do siebie, oni... — Z emocji zabrakło jej tchu.

Rodzice wspólnie spożywali posiłki, podczas świąt składali sobie życzenia, matka podawała ojcu rękę do ucałowania i to była jedyna forma bliskości, którą dziewczynka między nimi zaobserwowała. Nie kochali się, tego była pewna.

— Dziecinko, czy ty nie masz gorączki? — Ludwika przyłożyła dłoń do jej czoła. — Chłodno tu, już wieczór. Po kolacji przyniosę ci gorącego soku z malin. Został jeszcze z zeszłego lata. I opowiem ci nową bajkę.

Wiktorii widziało się, jak ukochana niania rozpaczliwie próbuje odwrócić jej uwagę — i to tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że ma rację.

— Ludwiczko, jeśli oni się nie lubią, to jak mogą lubić mnie?

— Dziecko, ktoś ci głupstw naopowiadał. Jeśli Florentyna, to...

— Nic mi nie naopowiadała. Przecież mówiłam, że widziałam, jak...

— Co dokładnie widziałaś? Przytulali się, tak? I stąd to całe zmartwienie? — Ludwika zdjęła z pleców chustę i zarzuciła na ramiona Wiktorii. — Dobrze wychowani ludzie okazują sobie uczucia na osobności, nie przy świadkach. Twoja mama to wielka dama i... Chodźmy już do domu, na Boga, bo zapalenia płuc dostaniesz. O, jak mnie w krzyżu łupie.

Wiktorii pozwoliła wziąć się za rękę, udając, że przyjęła zapewnienia niani. Uznała, że odpowiedzi na dręczące pytania będzie musiała poszukać sama, bez niczyjej pomocy.

Kilka dni później podsłuchiwała rozmowę dwóch pokojówek: grubej jak beczka na kapustę Zośki i drobnej, czarnowłosej Hanka.

— Co ty tak na jego widok oczami przewracasz? — pytała Zośka, ustawiając w pokoju kredensowym talerze na komodzie.

— Bo mnie do niego ciągnie — odparła Hanka, przyciskając obie dłonie do piersi. — Oj, jak ciągnie...

— Do jaśnie pana? Taki stary...

— Wcale nie stary!

— Ty nie masz jeszcze osiemnastu, a on do pięćdziesiątki dobija. Eee, stary.

— A widziałaś, jak patrzył na mnie? Jego też ciągnie.

— Do ciebie? — zaśmiała się. — Jaśnie pani cudna jak anioł, a on do ciebie, głupia?

— A tak! — rzekła pogodnie Hanka, zupełnie niezrażona. — Jak chłop z żony zadowolony, to ino patrzy, żeby pod pierzynę do niej wleźć, a pan do pani nie zachodzi. Musi być, że już dawno mu obrzydła.

— Ciszej, jeszcze, nie daj Bóg, kto usłyszcy i się narobi — zganiła ją Zośka. — Jak już cię musi ciągnąć, to do roboty niech cię ciągnie. Wyjmij serwetę z szuflady i sztucce przetrzyj.

Wiktoria czekała na ciąg dalszy, ukryta za drzwiami do pokoju kredensowego, ale najwyraźniej upomnienia Zośki przyniosły efekt, bo Hanka porzuciła temat umizgów wobec pana Słoczyńskiego i zajęła się pracą.

Zachowanie służących, ich komentarze i paskudne aluzje oburzyły Wiktorię, a jednocześnie utwierdziły ją w przekonaniu, że podejrzania, których nabrała, są słuszne. Ani trochę nie wierzyła, by ojciec mógł zagustować w Hance czy innej służącej, lecz było jej przykro, że nie gustuje także w żonie. Nie rozumiała dlaczego; przecież wszystkie księżniczki, królewny, wróżki i czarodziejki z baśni opowiadanych przez Ludwikę miały dla niej delikatną twarz matki. Nieraz słyszała, jak mówiono, że piękniejszej kobiety od pani na Łubinowie nie znajdzie się na całej ziemi sandomierskiej. I wciąż była taka młoda, dużo młodsza od ojca. Tylko uśmiechała się rzadko i najczęściej przebywała w buduarze, do którego wstęp miały jedynie Ludwika z Florentyną. Tak — o ile drzwi gabinetu ojca stały przez Wiktorię otworem, o tyle pokoje matki zawsze były dla niej zamknięte. Eufrozyna każdego ranka przed śniadaniem przychodziła do sypialni córki, by zapytać, czy dobrze się czuje i czy przygotowała się na lekcje z panną Michaliną, miała jednak przy

tym tak obojętny wyraz twarzy, że Wiktoria nigdy nie odważyła się poskarżyć, nawet jeśli coś jej doskwierało. Kiedy skończyła jedenaście lat i dostała łaski zasiadania do pierwszego stołu*, widywała się z matką także w trakcie posiłków, podczas których mogła podziwiać nienaganne maniery, grację, z jaką unosiła kieliszek albo filiżankę. Jeszcze wieczorem, przed snem, Eufrozyna przychodziła życzyć córce spokojnej nocy i spytać, czy zmówiła pacierz.

Wiktoria nie oczekiwała od niej czułości — tę dostawała z nawiązką od Ludwiki — ale pragnęła uwagi, pochwały, znaku, że jest kochana i ważna, a ponieważ matkę najbardziej interesowały postępy w nauce, pilnie przykładała się do zajęć z panną Michaliną. Uczyła się chętnie i szybko, nie mając najmniejszych trudności z przyswojeniem łacińskich czasowników. Z pamięci recytowała długie fragmenty ballad Mickiewicza, a bajki La Fontaine'a czytała w oryginale. Jedyne, co sprawiało jej trudność, to lekcje muzyki. Cierpiała istne męki, próbując wyszarpnąć z fortepianu choćby najprostszą melodię.

— Musi panienka grać na instrumencie. Każda dama powinna doskonalić się w talentach, jeśli chce dobrze wyjść za mąż. *C'est sûr*** — przypominała panna Michalina.

W końcu jednak, uznawszy, że Wiktoria to przypadek beznadziejny, zarzuciła lekcje muzyki na rzecz rysunku, co przyniosło nad wyraz zadowalające efekty.

Piękno historii dziewczynka odkrywała dzięki Ludwice i ojcu. Wieczorami przy filiżance gorącego kakao

* Stół dla jaśnie państwa. Stół drugi i trzeci był dla służby.

** *C'est sûr* (fr.) — To pewne.

niania zabierała ją nie tylko na Łysą Górę, gdzie z biesami harcowały czarownice, ale także do dawnych siedzib antenatów, oprowadzała sekretnymi ścieżkami po zamkach, gdzie straszło, i po pałacach, które najeżdżał wróg. Przywoływała postacie marszałków koronnych i wielkich hetmanów, kasztelanów i senatorów, powtarzała fascynujące historie z życia jej babek i prababek. Wiktoria najbardziej lubiła opowieść o jednej z nich, dzielnej Wirydianie Opalińskiej, której bali się najgroźniejsi wojacy.

Rozmowy z ojcem pomogły jej zrozumieć, jaki dramat kryje się pod słowami „Sybir”, „niewola”, „zaborcy”. W książkach przemycanych przez pannę Michalinę z Paryża Wiktoria nieraz czytała o Polakach bohatersko walczących z Moskalami w imię wolności, ale to pan Słoczyński rozbudził w niej wielką miłość do ojczyzny, która nawet nie istniała na mapie. Nocami, kiedy nie mogła zasnąć, wyobrażała sobie, że jest nowym wcieleniem Emilii Plater, szarżowała na wroga z szablą w ręku, uciekała przed ostrzałem artylerii, w przebraniu mężczyzny przemyciała tajne dokumenty, od których miało zależeć powodzenie powstania. Oczywiście wszystkie te przygody musiały się zakończyć bohaterską śmiercią. Widziała, jak rozklekotaną furmanką przywożą do Łubina jej zakrwawione ciało w asyście wiernych żołnierzy, oplakujących swego dowódcę „wielkiej mocy i sławy”*. W tych marzeniach matka, uświadomiwszy sobie, że zabitym powstańcem jest jej córka, padała zemdlona na ganku dworu.

* Adam Mickiewicz, *Śmierć pułkownika*.